

Biografia Cypriana
Kamila Norwida
w londyńskim
wydawnictwie Anny
Marii Mickiewicz



Dworek Norwidów w Laskowie-Głuchach, akwarela, 1839, wł. Muzeum Narodowe w Warszawie. Repr. za: Z. Trojanowiczowa, Z. Dambek, J. Czarnomorska, „Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida”, t. 1, Poznań 2007, il. 2, (w:) Edyta Chlebowska, „Norwid wobec ilustracji i sztuki ilustratorskiej”, Ośrodek Badań nad Twórczością Cypriana Norwida Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, 2013 r.

Adam Cedro

Londyńskie wydawnictwo Anny Marii Mickiewicz, *Literary Waves Publishing*, miało zaszczyt opublikować książkę „**In Memory of The Polish Poet Cyprian Norwid (1821-1883)**” autorstwa **prof. Józefa Franciszka Ferta**, która dedykowana

jest życiu i twórczości Cypriana Norwida.

W roku 2021 przypada dwusetna rocznica urodzin Cypriana Norwida (24 września 1821 – 22/23 maja 1883), jednego z najpowszechniej w kraju i za granicą znanych i uznanych pisarzy polskich. Niezwykle ważna i interesująca jest nie tylko jego wielostronna twórczość (rysunek, grafika, rzeźba, poezja, dramat, publicystyka), w której raz po raz odkrywamy autentyczne arcydzieła, ale równie bogate życie poety, któremu w pierwszym rzędzie poświęcona jest ta książka, stanowiąca szkic biograficzny jego losów i zwarty opis wszechstronnego dorobku literackiego i artystycznego.

Autorem opracowania jest Józef Franciszek Fert, rodem z Kielecczyny, studiami i pracą nauczycielską oraz akademicką związany z Lubelszczyzną (Włodawa, Lublin), poeta i badacz literatury, specjalizujący się w studiach nad wiekiem XIX i XX, edytor „Vade-mecum” i wierszy późnych Norwida w ramach krytycznej edycji „Dzieł wszystkich” C. Norwida.

Oprócz zarysu biografii książka prezentuje główne motywy twórczości, daje rys edytorskich dziejów dzieł poety, informuje o głównych inicjatywach i dokonaniach norwidologii, podaje podstawową bibliografię i przynosi antologię najważniejszych wierszy Norwida.

Jest to pierwsza pozycja biograficzna poświęcona poecie opublikowana w języku angielskim, którą chcieliśmy uczcić Rok Norwidowski. Pracował nad nią międzynarodowy zespół edytorski. Zawiera, między innymi, tłumaczenie słynnego wiersza Norwida *Fortepian Szopena*. Książka będzie dostępna w USA i w Wielkiej Brytanii. Ukazała się w tłumaczeniu: Urszuli Błaszak (USA), Stanisława Mickiewicza (UK) i Steva Rushtona (UK). Okładkę przygotowała Agnieszka Herman. Zachęcamy do lektury. Książka jest dostępna na Amazon.

Anna Maria Mickiewicz: poetka, eseistka urodzona w Polsce, od lat mieszka poza granicami kraju, początkowo w Kalifornii obecnie w Londynie. Publikuje w języku polskim i angielskim. Współpracuje z redakcją londyńskiego *Pamiętnika Literackiego*. Jest członkiem English PEN-Club. Wraz z amerykańskim wydawnictwem *Contemporary Writers of Poland* przygotowuje cykliczne antologie poetyckie. W roku 2020 utworzyła wydawnictwo poetyckie *Literary Waves Publishing*. Należy do kilku londyńskich grup poetyckich: *Enfield Poets*, *The Highgate Society's Poetry Group*, *Exiled Writers Ink*. W konkursie internetowym ogłoszonym przez *Poetry Space* na wiersz tygodnia, jej utwór *A grey coat* zajął pierwsze miejsce. W 2013 roku wiersz *A London Dream* został opublikowany w brytyjskiej antologii *Through a Child's Eyes: Poems from World War Two*.

Promocja książki odbyła się podczas festiwalu literackiego w Penzance w Kornwalii.

Od lat publikuje swe utwory w anglojęzycznych magazynach literackich i antologiach w Wielkiej Brytanii, USA, Indiach: *Kritya*, *Exiled Writers Ink*, *Syndic Literary Journal*. Najnowsze publikacje: *Litterateur RW* (Indie), *Madness Muss Press* (USA), *The Beach Hut* (UK), *The Creative Process* (USA), *The Fringe Poetry Magazine* (USA), *Ink Sweat and Tears* (UK).

Jej pierwszą publikacją książkową był tomik *Dziewanna*, wydany w niezależnej oficynie; Warszawa: Galeria Słowa, 1984. Tomik został poszerzony i wydany ponownie – *Proscenium*, Lublin: Norbertinum, 2010. Anglojęzyczny tomik *London Manuscript* został opublikowany w Wielkiej Brytanii w wydawnictwie Poetry Space. Drugi anglojęzyczny tomik *The Mystery of Time* w USA, 2019. Opublikowała tomik polsko-bułgarski *Lato w Seaford*.

Zajmuje się również tłumaczeniami utworów poetyckich. Przede wszystkim współczesnych poetów brytyjskich i amerykańskich. W 2021 roku w wydawnictwie *Palewell Press* opublikowała wspomnieniową książkę *Secret Love Letters -Poland 1982*. Przetłumaczone utwory zostały również wydane w tomach poetyckich: *Zza oceanu* i *Atlantyckie strofy*. A w swoim wydawnictwie *Lireray Waves Publishing* w 2021 roku, opublikowała tłumaczenie książki prof. Józefa F. Ferta *In*

Memory of The Polish Poet Cyprian Norwid (1821-1883).

Współpracowała z wieloma organizacjami m.in. z brytyjskim kanałem TV Channel 4, Instytutem Spraw Publicznych w Warszawie. Tłumaczyła scenariusz programu, który poświęcony był Lechowi Wałęsie. Tłumaczyła również scenariusz teatralny na podstawie *Małego Księcia*. Spektakl został przedstawiony w Londynie.

Wraz z brytyjskim tłumaczem literatury polskiej, Noelem Clarke'iem brała udział w tworzeniu wystawy *Eagle and Lion*, która zaprezentowana została podczas oficjalnej wizyty królowej Elżbiety II w Polsce.

Nagrodzona przez Fundację im. Stefana Batorego, uhonorowana medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, Krzyżem Wolności i Solidarności i Nagrodą Literacką im. Josepha Conrada (USA).

Cyprian Norwid (1821–1883) is today seen as one of the most valued of Polish writers (he also practised drawing, graphics and sculpture). His life was full of hardships and storms, but creatively very fruitful. As a child, he lost both parents, but thanks to the help of family he gained the basics of a good education. In 1842 he left Poland to deepen his artistic studies. In 1846, as a result of a provocation, he was imprisoned by the Prussian police and after his release, travelled west as one of many Polish exiles of that century. In 1852 he left France for the United States, returning in mid-1854. He tried to settle down in England but after a few months returned to his beloved Paris and stayed there until the end of his life. He spent his last years (1877-1883) in an asylum for emigrants. This book tells the story of Norwid's difficult but immensely creative life.

fot. Dorota Miedziakowska



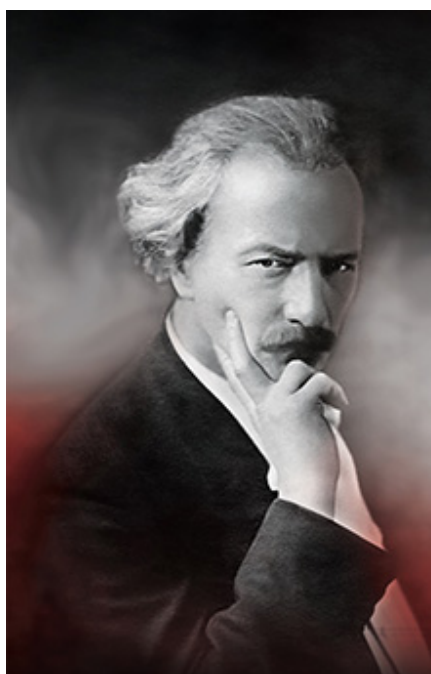
Józef Franciszek F e r t, (pseudonyms: Jacek F. Brzozowski, Cyryl Włodawiuk) was born on July 7th, 1945, in Korytnica on the Nida River. He studied in Poland at the Catholic University of Lublin and Maria Curie Skłodowska University. From 1970 to 1990 he taught at a high school in Włodawa. From 1986 he was a researcher and lecturer at the Catholic University of Lublin, where he worked as the head of the Department of Textology and Editing. He was secretary and then deputy editor-in-chief of the editorial board of the journal *Studia Norwidiana*. He is a member of the editorial board of the *Complete Works by Cyprian*

Norwid and *Collected Writings* by Józef Czechowicz. He was chairman of the Lublin branch of the Association of Polish Writers (2002-2004). Among many publications are: *Norwid Poeta Dialogue*, Wrocław 1982; *C. Norwid, Vade-mecum*, ed., Wrocław 1990, BN I 271; *A poet of conscience. A thing about the work of Norwid*, Lublin 1993; *Norwidowskie inspiracje*, Lublin 2003; *C. Norwid, Conscience of words. A selection of thoughts from letters and dissertations*, Wrocław 2003; *J. Czechowicz, Wiersze i poematy, in the collection: Pisma zebrane*, vol. 1-2, Lublin 2012. He has also published ten collections of poetry and prose and several hundred articles. He is Honorary Citizen of the City of Włodawa, and has a Gold Cross of Merit, a Knight's Cross of the Order of Polonia Restituta, and a Papal decoration: 'Pro Ecclesia et Pontifice'.

Literary Waves



Ignacy Paderewski – patriota i filantrop



IGNACY PADEREWSKI
Patriot & Philanthropist
29 June, 2021
START 2:00pm EST

THE BEST OF CHOPIN & PADEREWSKI
performed by international artists

**YULIANNA AVDEEVA
ERICK LU
KRZYSZTOF HERDZIN**

**MAGDALENA IDZIK
MAREK BRACHA
KAMIL PACHOLEC**

ONLINE CONCERT AVAILABLE ON THE WEBSITE:
www.paderewski.fkis.org

PARTNER
 FUNDACJA

 POLISH & SLAVIC
FEDERAL CREDIT UNION

ORGANIZER

FUNDACJA KULTURY I SZTUKI

Koncert online na stronie: www.paderewski.fkis.org

Wtorek 29 czerwca 2021 r. godzina 20.00 CET/ 2 pm EST

*

We wtorek, 29 czerwca odbędzie się darmowy koncert online

poświęcony pamięci Ignacego Paderewskiego, zorganizowany dla upamiętnienia 80 rocznicy śmierci Wielkiego Polaka.

Ignacy Jan Paderewski był obywatelem świata, mężem stanu, dyplomata, wirtuozem, kompozytorem, orędownikiem niepodległej Polski, a przede wszystkim wielkim patriotą. Odwoływał się do pracy dla wspólnej sprawy, wyższych ideałów i jedności wszystkich Polaków. Ignacy Paderewski stanowi przykład jak wiele może osiągnąć człowiek o skromnym pochodzeniu, ale o wyjątkowych talentach, rygorystycznej etyce pracy i dobrym sercu.

Koncert przybliży niedostatecznie znany etos dobroczynności i filantropii Wielkiego Polaka, który rozdał większą część swojego majątku wspierając zwłaszcza tych, którzy walczyli o wolność Polski. Nie zabraknie również ciekawostek i mało znanych materiałów archiwalnych udostępnionych między innymi przez Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, Muzeum Polskie w Ameryce, Polskie Centrum Muzyki, *USC Thornton School of Music* w Los Angeles.

Program koncertu prezentuje kunszt kompozytorów i podkreśla jego narodowy charakter. W programie utwory F. Chopina i I. Paderewskiego w wykonaniu klasycznym i interpretacje jazzowe Krzysztofa Herdzina. W koncercie udział weźmie zwycięzca Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w

Warszawie, rosyjska pianistka **Julianna Awdiejewa**, amerykański pianista **Eric Lu** laureat Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie, **Kamil Pacholec** pianista młodego pokolenia laureat Ogólnopolskiego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Katowicach, Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego w Livorno, półfinalista I Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na instrumentach historycznych, objęty opieką Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina w ramach programu „Młode Talenty” **Krzysztof Herdzin** profesor, doktor sztuk muzycznych, pianista, dyrygent, kompozytor, aranżer, producent muzyczny, ad. dr. hab. **Magdalena Idzik** solistka Polskiej Opery Narodowej, adiunkt w Katedrze Wokalistyki UMFC, **Marek Bracha** uważany za jednego z najciekawszych polskich pianistów młodego pokolenia reprezentowany przez Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena. Wystąpią również Soliści Baletu Opery Wrocławskiej: **Hannah Ho** i **Robert Kędziński**.

*

Organizator koncertu: *Fundacja Kultury i Sztuki*

Partner koncertu: *Fundacja PZU.*

Partner wspierający: *Polsko Słowiańska Federalna Unia*

Kredytowa.

Współpraca: *Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, Instytut Piłsudskiego w Ameryce, Muzeum Polskie w Ameryce, Polskie Centrum Muzyki, USC Thornton School of Music w Los Angeles, Centrum Ignacego Paderewskiego w Kąsnej Dolnej, Międzynarodowy Festiwal Chopinowski w Dusznikach Zdroju, Łazienki Królewskie w Warszawie, Stowarzyszenie Wspólnota Polska.*

Zobacz też:

Żywot Paderewskiego

Pamięć nie jest prawdą

Z Bogdanem Frymorgenem, na stałe zamieszkałym w Londynie dziennikarzem i fotografem oraz autorem debiutanckiej prozy „Okruchy większej całości”, w której „ożywia kadry” z dzieciństwa naznaczonego chorobą dwubiegunową ojca - rozmawia Bożena U. Zaremba (Floryda).



Fot. Bogdan Frymorgen

ROZMOWA 1

Debiut literacki w wieku 58 lat to zjawisko rzadko spotykane, ale w sumie zawodowo parasz się słowem od wielu lat.

Gdy pierwszy raz ktoś nazwał moją książkę debiutem, to doznałem szoku. Ten tekst powstawał bardzo naturalnie, wcale nie z myślą o tym, że będzie kiedyś leżeć na półce w formie książki. Nazwano ją też biografią, ale ja nie opisuję swojego życia, raczej pewne skrawki pamięci, po której postanowiłem podróżować, kiedy pandemia pozamykała nas w domach. Wieczorami, kiedy cały dom kładł się już spać, [mój pies] Siena

rozkładał się obok mnie, a ja otwierałem komputer i sobie pisałem. Ale słowem rzeczywiście zarabiam od dawna – od wielu lat jestem korespondentem radia RMF FM, wcześniej pracowałem w BBC. Pracuję polskim słowem, co jest dosyć ważne dlatego, że po 35 latach mieszkania na Wyspach Brytyjskich, pracowania wśród Anglików i otaczania się głównie Anglikami, gdybym miał mówić coś publicznie, albo pisać, wybrałbym język angielski. Ale ta książka musiała powstać po polsku, dlatego, że to jest język mojej pamięci, mojego dzieciństwa i język, którym wszedłem w życie. Od zawsze staram się język polski pielęgnować, raz, że nim zarabiam na życie uprawiając dziennikarstwo, a dwa, że chciałem, żeby moje dzieci poprawnie nim władały. U mnie w domu zawsze mówiło się po polsku i moi synowie, już dorośli – jeden ma 30 drugi 27 lat – są dwujęzyczni, dwukulturowi. Przypuszczam, żebyś się nie zorientowała, że się tutaj urodzili, wychowali i wykształcili. Tak, więc jest to taki śmieszny debiut. Wydałem wcześniej albumy fotograficzne i w nich też pojawia się słowo – na przykład w albumie „Kazimierz”, tyle, że tekst jest tam w formie mikroskopijnej, bardzo ascetyczny, lakoniczny, ale i precyzyjny.

Powiedziałeś kiedyś, że ta książka powstała z potrzeby rozwiązywania pewnych węzłów, czy też uporządkowania i uproszczenia pewnych wydarzeń z Twojego życiorysu.

Podobnie jak to robię w mojej fotografii, która wkradła się do tej

książki podstępnie. Ta książka jest generalnie zbiorem kadrów z przeszłości, które zapamiętałem z fotograficzną precyzją i które ożywiam – ruchem, dźwiękiem, zapachem, emocjami, słowem. Z tym, że mimo tego, że wszystko jest w tej książce poukładane w miarę chronologicznie, nie pisałem jej chronologicznie. Poszczególne rozdziały powstały z potrzeby chwili i z potrzeby pewnych emocji. Kodem była tutaj chronologia pamięci.

Jedną z inspiracji było Twoje zainteresowanie Jungiem, twórcą psychologii analitycznej i psychoterapii. Czy pisanie było dla Ciebie formą katharsis?

To było naturalne przedłużenie terapii, którą przeszedłem kilka lat temu. Zawsze interesowałem się filozofią Junga i nim samym jako człowiekiem. A kiedy stuknęła mi 50-tka, a umówmy się, to jest to taki „osiowy” wiek, postanowiłem sobie zrobić prezent w postaci dziesięciu sesji z psychoanalizy. Poza tym od 30 lat słyszałem od mojej żony – w sytuacjach podbramkowych – że miałem ojca wariata, więc powinienem pójść na jakąś terapię. Bronilem się przed tym, bo uważałem, że ojca mam zupełnie „przerobionego”, ale dzieciaki mi wyfrunęły z gniazda, spłaciliśmy kredyt na dom i zakończyłem po 24 latach pracę w BBC. To były takie ważne cezury. W czasie tych sesji terapeutycznych okazało się bardzo szybko, że co prawda mojego ojca, który chorował psychicznie przez całe życie, a ja dorastałem w domu wypełnionym jego dwubiegunową chorobą,

mam kompletnie rozpracowanego, nie mam w swojej głowie ułożonej ani mojej babki, ani matki, a i z bratem też należałoby parę rzeczy rozwiązać. Pootwierały się wtedy pewne „pory” mojej duszy i mogłem sobie o tym porozmawiać. Podczas niektórych sesji wychodziły zupełnie niezwykle, odkrywcze treści. W takich momentach nie wierzysz, że to co słyszą twoje uszy wychodzi z twoich ust i następuje jakby przeprogramowanie podświadomości i świadomości. I muszę przyznać, że to było absolutnie zjawiskowe! Potem, przelewając te treści na papier doznawałem czasem prawie fizycznego wstrząsu, bo nagle okazywało się, że potrafiłem jakiś moment z przeszłości, który był głęboko zakopany w mojej podświadomości, wyzwolić. To są być może najmocniejsze momenty w tej książce. Nie powiem, które. Tak więc, jeżeli ta książka jest przedłużeniem terapii, to też sama w sobie jest terapią.



Fot. Bogdan Frymorgen

Te opowieści są bardzo uniwersalne, a książka spotyka się z bardzo szerokim, entuzjastycznym odbiorem. Jednym z najczęściej przewijających się spostrzeżeń to ogromna szczerść Twojego pisarstwa, brak wybielacza czy retuszu, cytując Marcina Zygadło: „Frymorgen fotografuje uważnie i nie używa filtrów. W jego ‘obiektywie’ rzeczy odarte są z pozorów, nazwane są po imieniu, tak jakby autor postanowił obnażyć się ostatecznie.” Czy rzeczywiście obnażenie było całkowite? Czy zostawiłeś może jednak

jakaś tajemnicę, która jest znana tylko Tobie, albo najbliższym?

Ależ tak! Zostały napisane rozdziały, które nie mogły się znaleźć w książce, musiałem zachować pewien umiar. Najtrudniejszy był rozdział o moim bracie – jest oczywiście bardzo szczery, ale napisany jest miłością. Mój brat doskonale czuje i wie, że to jest niełatwy temat, ale bez niego tej książki nie mogło być, bo mój brat, tak samo jak i matka, i ojciec wypełniają bardzo dużą przestrzeń w moim życiu. Ale tutaj nie ma obnażania czegokolwiek. Ja doznałem pewnego przeistoczenia, to znaczy uprościłem się w środku, tak jak kiedyś szukałem takiego ascetycznego, uproszczonego porządku w swoim kadrze fotograficznym, usuwając ze zdjęć zbędne rekwizyty. Zawsze mi zależało na tym, żeby ukazać pustkę albo ciszę, szczególnie w momentach, kiedy byłem otoczony hałasem i szumem. Tak było na przykład ze zdjęciami moich dzieci, od których moja tak zwana kariera fotograficzna się zaczęła. One na tych zdjęciach są samotnymi, wyciszonymi, małymi ludźmi. Kiedy żona ujrzała te zdjęcia po raz pierwszy w galerii w Krakowie, nie mogła uwierzyć, że to są nasi synowie. Ona pamiętała ten sam czas jako harmider, wrzask, szarpaninę, sprzeczki. Natomiast ja szukałem w tym ciszy, wchodziłem w tą szczelinę i robiłem zdjęcia. W mojej książce sam stałem się kadrem, to znaczy wziąłem trzon ze swojej fotografii i moje człowieczeństwo uprościłem i wyczyściłem. Dlatego język jest taki, jaki jest. Tam nie ma

zbędnych słów, słowa są precyzyjnie dobrane. Kiedy redagowałem ten tekst, starałem się usuwać zbędne rekwizyty, czasami dodawałem coś, ale głównie obcinałem, aż dochodziłem do momentu, kiedy usunięcie jednego słowa doprowadziłoby do zawalenia się tej konstrukcji, tak jak domku z kart. Wtedy wiedziałem, że to jest to.

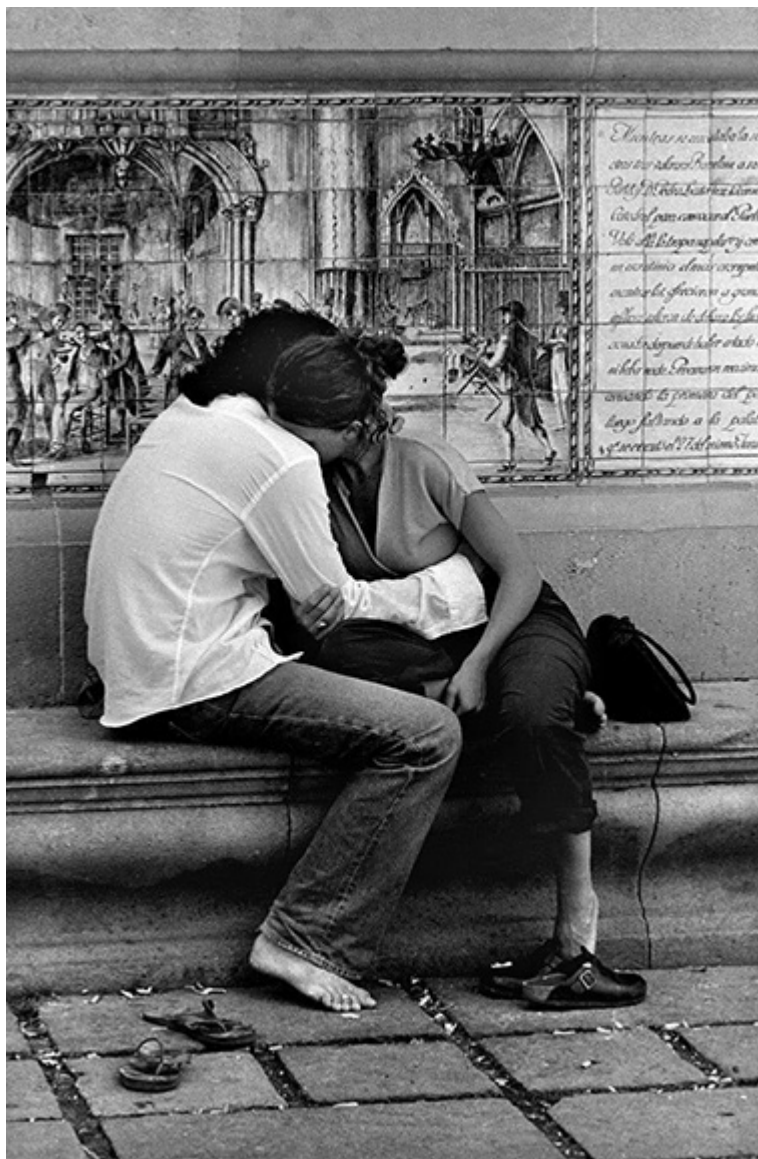
Ze swoim bratem i babką rozprawiasz się dość ostro...

To spontanicznie ze mnie wyszło. To był pewien egzorcyzm. Moją niechęć, bo nie chcę mocniejszych słów używać w stosunku do swojej babki, spakowałem w cierpką historię i koniec. Natomiast sprawa z moim bratem jest inna, bo rozumiem, dlaczego tak to wyglądało. On był ode mnie cztery i pół roku starszy i wiele więcej doświadczył choroby mojego ojca. Kiedy dołączyłem do „zespołu”, stałem się clownem, który rozśmieszał wszystkich, natomiast mój brat był dla mamy wsparciem, był jej powiernikiem. Jest to strasznie ciężki krzyż, który w sumie nosi do dziś. Mnie brakowało pewnych relacji zarówno z matką jak i z bratem, ale od pewnego momentu zorientowałem się, że daje mi to niezależność i że mogę zagospodarować swoje życie na takich zasadach, na jakich chcę.

O swoim ojcu i zmaganiach całej rodziny z jego chorobą dwubiegunową, piszesz jednocześnie bez ogródek, bez sentymentalizmu, ale z drugiej strony z ogromną

wrażliwością, miłością, szacunkiem i czułością.

Nie mogłem napisać tego inaczej, bo mimo tej nienaturalnej w sumie sytuacji, miałem bardzo ciepłe dzieciństwo, wypełnione miłością, słowem „kocham”, także fizycznym okazywaniem tej czułości. Na początku nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tragizmu tej sytuacji. Jak piszę w tej książce, to był dla mnie chleb z masłem, czasami z dżemem, czasami z musztardą. Ale w zależności od wieku, przyjmowałem to w bardzo naturalny sposób, wchodziłem w rytm tej choroby, rozumiałem ją tak, jak można było ją rozumieć będąc dzieckiem.



Fot. Bogdan Frymorgen



Fot. Bogdan Frymorgen

Jak postrzegasz ojca?

Ja miałem dwóch ojców. Jak przychodził wyż, tak zwana mania, ojciec stawał się wynalazcą i szalonym racjonalizatorem, był postacią wręcz magiczną, jak z powieści Marqueza. Natomiast była też ta druga, znacznie trudniejsza odsłona, kiedy ojciec wpadał w depresję, zagłębiał się w stan takiej katatonii, że byliśmy przekonani, że umiera. Ale ponieważ czuwała nad nami,

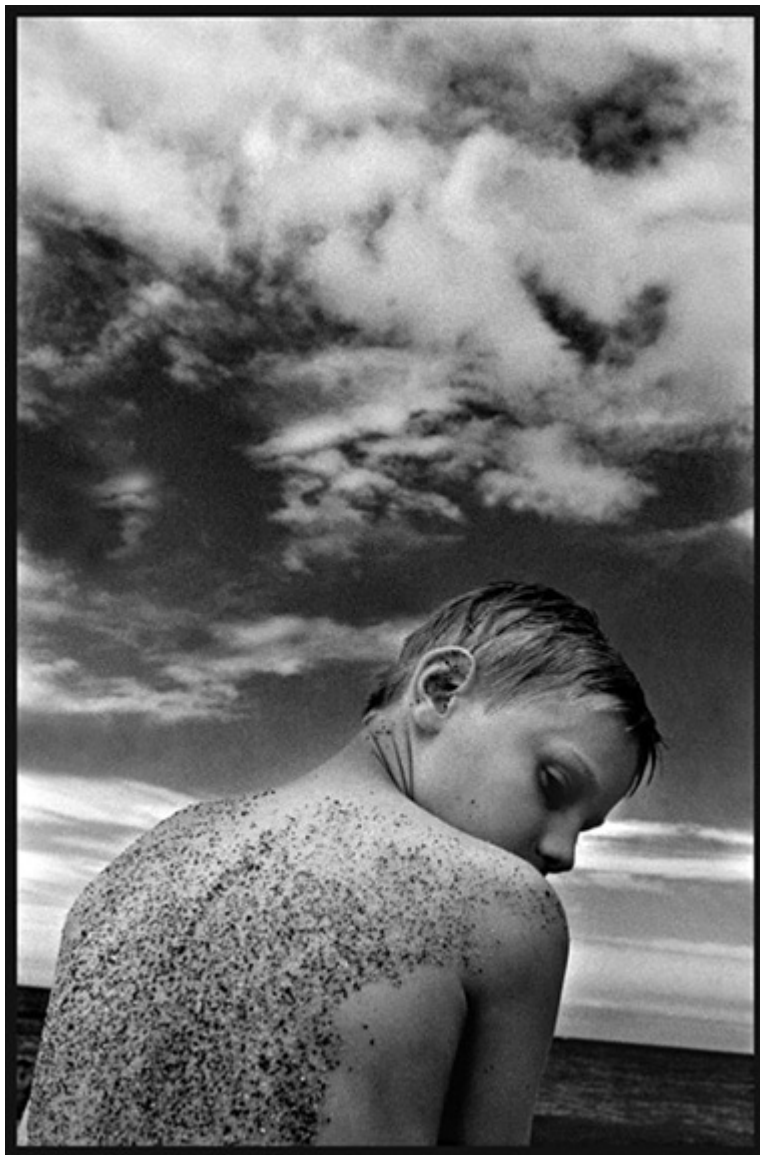
jak nazywam moją matkę, „Wielka Niedźwiedzica”, dostawałem w tym domu wszystko, co dziecko powinno dostać – ciepło, miłość, opiekę i bezpieczeństwo, w każdym razie ja zawsze czułem się bezpiecznie, bo rozumiałem ten język i wiedziałem, kiedy ta choroba przychodzi. Jak przy stole padało jakieś dziwne zdanie czy słowo, wystarczyła tylko wymiana spojrzeń i już wiedzieliśmy, że trzeba włączyć inny tryb. A ponieważ mieliśmy ten temat opanowany, bo przerabialiśmy go wielokrotnie, to już za którymś razem funkcjonowaliśmy jak szwajcarski zegarek. Każdy wiedział, co ma robić. Ja, na przykład, zawsze rozmawiałem z sanitariuszami. Prosiłem ich, żeby zostawiali kaftan bezpieczeństwa [w karetkce], bo na jego widok ojciec dostawał szału. W miarę dorastania, oczywiście rosło moje pojęcie i zrozumienie tej choroby. Zmieniało się też jej nazewnictwo, najpierw to była depresja maniakalna, potem, afektywna dwubiegunowa, potem znowu się pojawiło określenie cyklofrenia. To się zmieniało, ale choroba była ta sama.

Okazuje się, że na tę chorobę cierpiało albo cierpi wiele znanych osób, jak Robert Schumann, Gustaw Mahler, Edward Munch, Isaak Newton, Graham Greene, czy Frank Sinatra i że często kończy się śmiercią samobójczą, jak w przypadku Ernesta Hemingwaya, Vincenta van Gogha albo Virginii Woolf. Czy możliwe, że brak wsparcia do tego doprowadzał?

Ludzie, o których wspomniałaś byli niezwykle utalentowani, wrażliwi. Ta choroba lubi dotykać tego typu ludzi. Trzeba sobie jednak przede wszystkim zdać sprawę, że ta choroba może mieć różną amplitudę. Można z nią funkcjonować w miarę w normalny sposób, nie być obciążonym lekami psychotropowymi przez całe życie. Ale to prawda, że ludzie cierpiący na tę chorobę, zwłaszcza pozostawieni sami sobie w większości mają myśli samobójcze, bo jest to potworna choroba. Mój ojciec miał wsparcie w postaci rodziny – matki, nas i bezpośredniego środowiska. Ale nie miał na przykład wsparcia terapeutycznego, czegoś, co teraz jest bardziej popularne i dostępne. Nie wszyscy chorujący na tę chorobę mają rodzinę albo te rodziny się często rozpadają. Dzieci się odwracają, nie wiedzą, jak się z taką osobą porozumiewać, bo jeżeli się tego języka nie poznało i nie pozwoliło, żeby stał się częścią twojego DNA, to może być trudno. Ja zawsze czułem wewnętrznie, że jest to mój obowiązek – chociaż tego tak nie definiowałem – żeby być z ojcem i mu towarzyszyć. Ojciec zmarł w wieku, w którym teraz tę książkę opublikowałem i to jest przedziwnie wymowne.

W sposób naturalny pojawia się kwestia lęku odziedziczenia choroby dwubiegunowej. W książce piszesz, że mama wmawiała Tobie i Twojemu bratu, że tylko dziewczynkom może się to przydarzyć, co jest nieprawdą. Czy miałeś jakiś sposób, żeby „chronić” swoich synów?

Mama jest naprawdę kochaną osobą i nie wiem, czy zrobiła to z premedytacją, czy po prostu podpowiedział jej to jakiś pan profesor w Krakowie, dokąd jeździła z ojcem na konsultacje. Jeżeli słyszysz takie słowa przez całe życie to jesteś w stanie się zaprogramować. Nie powtarzałem takich rzeczy moim synom, ale jak byli już wystarczająco duzi, zacząłem z nimi rozmawiać o chorobie ojca w sposób bardzo otwarty. Ostrzegałem ich wtedy o wpływie narkotyków, bo chorobę psychiczną, do której ma się predyspozycje, można uaktywnić, nawet po zażyciu jednej dawki. Znam niestety ludzi, których to spotkało. Synowie chodzili wtedy do szkół średnich, a wiadomo co się w szkołach dzieje i tę rozmowę, jako tzw. odpowiedzialny rodzic musiałem przeprowadzić. I jeszcze jedna ważna rzecz – ja nie zachorowałem na tę chorobę i nigdy nie zachoruję (w tym wieku mogę mieć już taką pewność), ale jestem absolutnie świadom tego, że jestem w połowie stworzony z mojego ojca. Mam w sobie pewną nadwrażliwość i to na różnych poziomach, z tym, że wiem, na co tę nadwrażliwość skierować. Choroba ojca jest częścią mnie i nie jest to dla mnie absolutnie nic wstydliwego. W niej się wychowałem i dorastałem. Tą książką poniekąd żegnam mojego ojca.



Zdjęcie syna, wykorzystane między innymi do okładki powieści Pawła Huelle „Weiser Dawidek”, fot. Bogdan Frymorgen
Opisujesz niesamowite, przejmujące historie, a Twoje pisarstwo jest tak obrazowe, że byłby to fantastyczny materiał na scenariusz filmowy.

Nawet mój syn mi zaproponował, że zrobi film, ale jest jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć. Ta książka musi się odłożyć. Jestem na etapie takiej wewnętrznej pokory i chcę sobie tę książkę i to, co się wokół niej teraz dzieje spokojnie przeżyć. Przeżywam jej

różne odsłony – takie rozmowy, jak ta z Tobą, uwagi ludzi, których często w ogóle nie znam, a którzy do mnie piszą i dzielą się swoim życiem, co jest fantastyczne. Zostałem też ambasadorem III Kongresu Zdrowia Psychicznego.

No właśnie, jak do tego doszło?

To Kongres zwrócił się do mnie z taką prośbą. Pomyślałem sobie, dlaczego nie. Oczywiście sprawdziłem, czym Kongres się zajmuje, bo nigdy nie wchodzę w takie relacje w ciemno, ale to są naprawdę fantastyczni ludzie. Pracują przez cały rok, a raz na dwa lata [*Kongres odbył się w tym roku 7 czerwca – przyp. buz*] organizują spotkanie ludzi z różnych środowisk i rozmawiają o tym, w jaki sposób można wesprzeć ludzi chorujących psychicznie. To jest taka oddolna inicjatywa, której celem jest między innymi stworzenie środowiskowych centrów wsparcia dla osób chorych psychicznie, zwłaszcza na wsi czy w małych miasteczkach. Już są 33 takie centra, a oni chcą mieć 300. Ujęło mnie też to, że ludzie, którzy pracują przy tym Kongresie to są osoby, które otarły się o chorobę, albo same chorują. Moja książka stała się paszportem do tego, żeby mówić o kryzysach psychicznych z pewną dozą odpowiedzialności. Do moich obowiązków należy nagłaśnianie tej szczytnej inicjatywy, co sprawia mi dużą przyjemność i zaszczyt.

W jakiś sposób Twoja opowieść może pomóc innym

ludziom?

O chorobie psychicznej mówię wprost, nie czaruję, używam prostego języka. A o niej należy mówić, bo im częściej i szczerzej, bez uprzedzeń o niej mówimy, tym ludziom będzie łatwiej, także ludziom, którzy są w bezpośredniej bliskości ludzi chorych. Oczywiście ja piszę, jak to wyglądało w naszej rodzinie, ale taka choroba potrafi przewrócić życie do góry nogami. Natomiast odpowiednie wsparcie terapeutyczne, środowiskowe, również farmakologiczne (bo to też jest konieczne) umożliwiają człowiekowi w miarę normalnie przejść przez życie, mieć rodzinę, utrzymać pracę. Co więcej, pomagać innym, tak jak ludzie, zrzeszeni wokół Kongresu. Nie można tych ludzi spisać na straty, nie można ich wkładać do głębokiej piwnicy. Oni mają prawo funkcjonować normalnie, na ile ta nienormalność im na to pozwala.

Jeszcze ze spraw nazwijmy to warsztatowych - wyraźnie zajmujesz negatywne stanowisko w stosunku do Kościoła, ale z drugiej strony odniesienia religijne są w tej książce wszechobecne, a symbole religijne przyjmują konkretne kształty: „rycerzyki Chrystusa” nazwane też „barankami bożymi” które okazały się „baranami”, mamę nazwałeś „Matką Boską spod Beskidzia”, lekarzy „aniołami”. Dlaczego takie porównania?

Jak się rodziś na Beskidziu w rodzinie na wskroś katolickiej, to tak tkwisz w tej kulturze, że ona w rezultacie staje się częścią ciebie. Takie skojarzenia więc same się nasuwają. Nie należy tego języka wyrugować ze swojego życia. Duchowo oddaliłem się od instytucji Kościoła, od pojęcia boga i boskości i wracając do kościoła w mojej wsi Komorowice, nie czuję absolutnie żadnej duchowej więzi. Natomiast jak poczuje zapach kadzidła i posłucham organów wszystko zaczyna wibrować. Z tym, że to nie ma nic wspólnego np. z tajemnicą transfiguracji, czy świętymi sakramentami. Przeszedłem przez chrzest i bierzmowanie, natomiast ten związek w pewnym momencie, z takich czy innych względów się urwał, a ikonografia pozostała.

Nie był to absolutnie zarzut hipokryzji w stosunku do Ciebie. Dla mnie te odnośniki pokazują alternatywną interpretację pewnych konceptów czy symboli, których znaczenie zostało nam kiedyś narzucone i wpojone. Pokazujesz ich żywy i współczesny wymiar.

Nie wiem, czy poszedłbym aż tak daleko. Ja po prostu opisuję mój związek z Kościołem, od tych pierwszych kontaktów chodzenia do kościoła, kiedy fizycznie mdlałem, po zerwanie z nim w momencie, kiedy zorientowałem się, że nie jest w stanie zapewnić mi pewnej karmy, której, jako dorastający chłopak potrzebowałem. Śmiem twierdzić, że w tej książce jest dużo duchowości, takiego szerszego spojrzenia właśnie na duchowe

potrzeby młodego człowieka, które można zaspokoić poza tą instytucją. A przy tym przejść przez życie przestrzegając pewnego kanonu zasad etycznych i moralnych i przekazując je swoim dzieciom. Tak też było w mojej sytuacji. Natomiast na pewno nie chciałem się wymądrzać. To jest moja subiektywna pamięć, a pamięć nie jest prawdą.

Katarzyna Szczerbowska w rozmowie z Tobą zwróciła uwagę na muzyczne walory Twojego pisarstwa i na to, że świetnie czyta się tę książkę na głos. Niedawno ogłosiłeś, że na przełomie przyszłego roku będziesz ją czytał w radiu RMF FM.

Ta książka jest muzyczna, bo ja mam w sobie dużo muzyki. Znamy się od dawna, to wiesz, że zawsze interesowałem się muzyką i żyję nią na co dzień, od rana do wieczora. W związku z tym rytm tej książki jest muzyczny. Tam są wyraźnie takty, tam jest *piano* i *forte*, czasami jest orkiestra, czasami samotny instrument.

Czy myślisz o jej przetłumaczeniu?

Znajomy tłumacz zaproponował przymierzyć się do tego. Powiedziałem, przetłumacz parę rozdziałów i zobaczymy. Sam nigdy w życiu tej książki nie przetłumaczę, bo ona się zrodziła w języku polskim i chcę ją zamknąć w mojej polskości. Skoro o tym

mówię – tutaj mieszkam, tutaj mam rodzinę i tutaj pracuję, kocham Londyn, ale wszystko co robię kreatywnego, robię w Polsce i dla Polski, a tutaj jestem pod tym względem osobą zupełnie nieznaną. Często bywam w Polsce, jestem zaangażowany w polskie życie na wielu poziomach i czuję się pełnoprawnym i pełnokrwistym obywatelem, który tylko przypadkiem mieszka w Londynie. Pozwalam sobie na taką iluzję, że funkcjonuję w dwóch przestrzeniach.

Fotografie pochodzą z książki „Okruchy większej całości”.

W drugiej rozmowie, która ukazała się w piątek, 2 lipca 2021 r. Bogdan Frymorgen opowie o fotografii, muzyce i innych fascynacjach. Rozmowy prowadzi Bożena U. Zaremba.

*



**„Okruchy większej całości” (2021) są dostępne (z
możliwością wysyłki zagranicznej) na stronie wydawnictwa
Austeria:**

<https://austeria.pl/produkt/okruchy-wiekszej-calosci/>.

**Zapraszamy do komentowania książki i śledzenia poczynąń
autora na Facebooku, na stronie „Frymopisanie”.**

Rozmowa 2:

Wychylić się ponad parapet

Wersja angielska:

„Memory Is Not the Truth”

Pierwsze lata po wojnie – Academia Zamoscensis

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)



Po lewej gmach Akademii Zamoscensis, w środku dzwonnica kolegiaty, obecnej katedry, fot. arch. autorki

Tym razem piszę o Zamościu i szkole okresu stalinowskiego. Tak wiele się zmieniło od tej pory, że myślę o przekazaniu pokoleniu moich wnuków, jak wyglądała wtedy szkoła i jaką wychowawczą organizacją było harcerstwo w wydaniu przedwojennym. Ponieważ obecne szkoły średnie stały się zagrożeniem tak dla uczniów, jak i dla nauczycieli - uważam, że powrót do sprawdzonych metod wychowawczych mógłby pohamować głupią przemoc i wybryki z nudów. Zamieszczonych w moich wspomnieniach pieśni patriotycznych dzisiaj już nikt nie zna, widać zaniedbanie rozwoju duchowego, zanik

wrażliwości na piękno przyrody, miłości do krajobrazu i zabytkowej architektury. Wydaje mi się, że prawdziwa, rzetelna wiedza historyczna mogą przynajmniej pomóc odciągnąć młodzież od wpływu tej zagubionej moralnie z prawej drogi. Myślę, że mówienie i uprzątnianie jednak coś da.

Po powrocie z niewoli, ojciec zabrał nas do Zamościa, gdzie była już ciocia Janka, siostra ojca i babcia – Mateńka. Początkowo zmuszeni byliśmy zamieszkać w jednym z domów posesji ojca, ale nie w tym ukochanym. Dwa niewielkie pokoiki i zimno-wilgotna kuchnia z wejściem bezpośrednim ze dworu. Mama przestała się poruszać. Ostry ischias (*rwa kulszowa, przyp. red.*) tak biedną zaatakował, że nie mogła wstać z łóżka. Miała wtedy dopiero 46 lat. Ojciec chorować zaczął na wrzody (karbunkuł), które wysypywały się na karku, bardzo bolesne i usztywniające, paraliżujące wszelkie ruchy. Miał tyle samo lat, co mama. Oboje bardzo cierpieli. Pracę dostał w PKO mieszczącym się w tzw. Centralce, czyli tam, gdzie przed wojną, ale pensja była tak mała, że nie mogliśmy się z niej utrzymać. Było głodno. Od września zaczęliśmy wszyscy chodzić do szkoły średniej. My z Elą do żeńskiego Liceum im. Marii Konopnickiej, bracia do Liceum im. hetmana Jana Zamoyskiego. Obie szkoły mieściły się wówczas w ogromnym, zabytkowym gmachu Akademii Zamoscensis z bardzo dobrymi tradycjami.

Pierwsze powojenne Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy w ciasnocie z bardzo kłującą choinką z jałowca, która musiała stać na kufrze. Jedno spanie było na biurku taty wciśniętym w kąt, drugie na wyrku pod oknem. W drugim pokoju na zsuniętych łóżkach mieścili się rodzice ze mną i Elą, dopóki siostra nie wywalczyła sobie własnego pokoju w naszym domu.

Przyjmowaliśmy gości – serdecznych przyjaciół rodziców. A byli nimi ks. dziekan Zawisza, proboszcz kolegiaty zamojskiej i pani Irena Czaplicka, więzień Auschwitz. Państwo Czapliccy mieszkali przed wojną po sąsiedzku i zawsze zapraszali nas wszystkich. Dom podobny do naszego był na kształt dworu z dużymi pokojami, ładnie urządzonymi. Pamiętam wiszące na choince marcepany w różnych kształtach, jak bombki. Podniesiono mnie wysoko i pozwolono wybrać coś, co mi się najbardziej podoba. Wskazałam na długą laskę w złotym opakowaniu. W środku były karmelki. Długo zjadałam ją po kawałku. Takie nieistotne szczegóły pozostają w pamięci – nie wiadomo dlaczego. Pamiętam też pierwsze imieninowe prezenty od pani Czaplickiej. A tymi cieszyłam się ogromnie. Srebrny pierścionek z oczkiem w kolorze miodu nosiłam z dumą, podobnie, jak granatową wstążkę do moich warkoczyków.

Mama wyjechała na kurację do Buska Zdroju. Chodziliśmy wtedy na obiady do Caritasu, gdzie dawano jednodaniowe posiłki dla ubogich. Zaliczaliśmy się co takich. W domu jedliśmy na okrągło

pęczak. Do dzisiaj nie mogę na niego patrzeć. Po ośmiu tygodniach leczenia, witaliśmy mamę stojącą na własnych nogach. Stał się cud, życie wróciło do normy. Poza tym obrodziły jabłonie, piekło się więc postną szarlotkę bez cukru i z szarej mąki, ale to i tak było wspaniale. Zupa owocowa zastąpiła znienawidzony pęczak. Najważniejsze było to, że wszyscy się uczyliśmy, a szkoły nasze miały znakomitych profesorów i oddanych pedagogów. Braci moich uczył znany i powszechnie lubiany prof. Michał Pieszko – historyk i geograf. „Cześć marszałkowi – krzyczeli chłopcy chórem – globus i pałka to symbole marszałka! Cześć, cześć, cześć!” I dopiero wtedy wolno było usiąść, bo trzeba dodać, że za moich czasów zawsze wstawało się na powitanie profesora dla okazania szacunku (o, gdzie te obyczaje?) oraz odmawiano modlitwę na początku pierwszej lekcji i na końcu ostatniej. Dodatkowo także na lekcjach religii. Drugim popularnym pedagogiem był prof. Miller, założyciel zamojskiego ZOO, które powiększone istnieje do dzisiaj. Dyrektorem gimnazjum męskiego był wówczas prof. Michał Bojarczuk, a w naszym żeńskim pani Maria Kaczyńska, później pani Hanna Porębska.

Wybitnymi naszymi profesorkami były: pani Lucyna Kniaziowa wspaniała polonistka i uwielbiana wychowawczyni. Niesłychanie skromnie ubrana, przeważnie na granatowo. Miała ciemne włosy uczesane gładko w wałek pod spód ujęty w siatkę dla idealnego porządku. Jej szaro-niebieskie oczy przenikały na wylot

dogłębnie każdą z nas, po prostu czytała w naszych głowach, sercach i duszach. Nie sposób było zapomnieć mądrości tych oczu. Była w nich prawda, czystość, uczciwość, powaga i dobroć zarazem. Lubiła młodzież i rozumiała ją. Dzisiaj, z perspektywy czasu podziwiam Jej takt i umiejętność przekazywania wartości literatury polskiej w okresie, gdy zacierano wszystko, co patriotyczne, wszak rozpoczął się już reżim stalinowski. Ile kosztowały ją zdrowia wizytacje o charakterze politycznym z tendencją, by nauczyciela lub szkołę skompromitować, jak bardzo denerwowała się o nas i za nas – wiedziałyśmy to po charakterystycznej, czerwonej plamie na szyi. Zdaje się, że nasza klasa nigdy nie zawiodła.

Drugą osobowością pedagogiczną była madame Maria Markuszewska, romanistka. Uczyła nas trudnej wymowy języka francuskiego z lusterkiem, co pomagało korygować układ ust. Bezlitośnie wyśmiewała nieudolne „siur”, „dziur”, „że ne se pa”, „że ne we pa”. Sama znała język znakomicie. Była po Sorbonie i po wielu latach spędzonych we Francji. Dystyngowana dama, wyprostowana, lekko uśmiechnięta z buzią w ciup, uczesana starannie w koczek z tyłu i niezmiennie w granatowym „mundurku”. Była po prostu wzorowa! Uczyła nas przy każdej okazji dobrych manier i kultury na co dzień. Na lekcjach francuskiego wałkowałyśmy w kółko „Quand trois poules vont aux champs, la premiere va devant...” Zabawy szkolne w gronie własnym urozmaicone były małymi przedstawieniami

kostiumowymi, trwały dla klas najmłodszych tylko do godziny 20-tej. Moją wychowawczynią na początku była pani Aurelia Pieszkowa, żona prof. Michała Pieszki. Uczyła nas robót ręcznych: szycia na maszynie, kroju i innych umiejętności kobiecych, które przydały się w życiu.

W szkole panowały wtedy obyczaje jak na przedwojennej pensji. Obowiązywał strój granatowy tj. spódniczka o dowolnym kroju i średniej długości oraz bluza, a na uroczystości biała z długimi rękawami bluzka. Do tego nosiło się granatowe berety. Były też w powszechnym zastosowaniu fartuszki czarny i granatowy: jedne o specjalnym kroju z plisowanymi falbankami (wzór przedwojenny) wkładane na coś w rodzaju mundurka; inne bardziej rozpowszechnione i praktyczne – to fartuchy z długimi rękawami, zapinane na mankiet, z przodu zapięcie na całej długości, paseczek w pasie i biały przyszywany kołnierzyk, zawsze świeżutki. Stroje te wymagały ciągłego prasowania i prania kołnierzy, lecz mimo to, większość dziewcząt takie nosiła. Ja donaszałam po Eli przerobioną trochę spódniczkę i bluzę z białym kołnierzem. Byłam bardzo dumna z mojej nowej szkoły i nowych koleżanek. Tą z pierwszej ławki, tuż przed katedrą profesorską, została z wyboru Alisia (Alicja) Treflerówna. Trochę grubasińska, ale ładna szatynka miła i wesoła, która mnie zaakceptowała z miejsca. Podziwiałam jej dwa długie, lśniące warkocze, które zaplecione nad uszami spływały grubymi sznurami i kończyły się dyndającymi granatowymi kokardami w

okolicach pasa. Alisia okazała się pilną, solidną, inteligentną dziewczynką i dobrą koleżanką.

Czasy najpierw wspaniałe, entuzjastyczne pozwalały nam na harcerstwo, zbiórki, ogniska, szkolne msze św. w kościele pod wezwaniem Św. Katarzyny, zaraz koło naszej budy. Pierwsze powojenne i jedyne na długie lata święto 3-go Maja obchodzone było z wielkim wzruszeniem i zaangażowaniem patriotycznym. Uczniowie wszystkich szkół oraz ludność z całego Zamościa zebrana na rynku starego miasta – przeżywaliśmy entuzjazm. Powiewały wtedy tylko biało-czerwone flagi, a jedna, zatknięta na szpicu wieży ratusza miejskiego prostowała się powiewem wiatru rozciągając w niebo całą swoją wielometrową długość, jakby wołała: „patrzcie, oto znów jestem. Zwyciężyłam!” Łzy napływały do oczu, zwłaszcza, że w oficjalnym przemówieniu wciąż słyhać było powtarzane często słowa: SUWERENNA! NIEPODLEGŁA! WOLNA! Był to rok 1946. A podczas uroczystej akademii w szkole Baśka Kowałko recytowała przepiękny wiersz I. Gałczyńskiego „Dwie flagi”, a w nim słowa przyprawiające o dreszcz w placach: „... i nigdy nie będziesz biała, nigdy nie będziesz czerwona, będziesz zawsze biało-czerwona, hej! biało-czerwona. Czerwona, jak puchar wina, biała, jak śnieżna lawina”. Jakże szybko zapomniano o rozmowie polskich flag.



Odzyskaliśmy zrujnowany dom w Zamościu, 1947 r., ja, tata i Julek Fabijański (Teresa, Józef, Juliusz), fot. arch. autorki
Naszą ostoją było harcerstwo – to z lat 1945-49, które nawiązywało do czasów przedwojennych i było oparte na

angielskim skautingu według założyciela i jego twórcy – Baden Powella. Uczyliśmy się piosenek harcerskich zawsze żywych, w rytmie marsza, lirycznych, śpiewanych przy ogniskach i cudownych, nastrojowych, głębokich modlitw, które przenikały leśną ciszę na wieczornych apelach obozowych i schodziły do mrużących kończącego się uściskiem splecionych na krzyż dłoni – symbolicznego gestu jedności.

O, Panie Boże, Ojciec nasz

w opiece swej nas miej.

Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,

Dopomóc zawsze chciej.

Wszak Ciebie i Ojczyznę,

Miłując chcemy żyć,

Harcerskim prawom w życia dniach

Wiernymi zawsze być.

A jeszcze w Hrubieszowie nauczyłam się na zbiórkach chorału

Kornela Ujejskiego.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,

Do Ciebie Panie bije ten głos.

Skarga to straszna, jęk to ostatni,

Od takich modłów bieleje włos.

*

My już bez skargi nie znamy śpiewu.

Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń.

Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu

Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

*

O, Panie, Panie, ze zgrozą świata

Okrutne dzieje przyniósł nam czas.

Syn zabił matkę, brat zabił brata,

Mnóstwo Kainów jest pośród nas.

Ależ o Panie, oni niewinni

Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz.

Inni szatani byli tam czynni

O, rękę karaj, nie ślepy miecz.

Piszę z pamięci zdumiona, że słowa te tkwią we mnie ponad sześćdziesiąt lat.

Poza pieśniami i wierszami uczono nas sprawności umysłowej, fizycznej, wielu umiejętności tzw. radzenia sobie w trudnych życiowych sytuacjach. Odwaga, prawość rzetelność, spostrzegawczość, solidność i solidarność – to cnoty, które wówczas były w najwyższej cenie. Jednym słowem – tamto harcerstwo było organizacją wychowawczą, patriotyczną, dającą wiedzę, wiele sprawności i umiejętności życiowych, ale również ogromną radość i wiele atrakcji. Uczyliśmy się wiązać węzły,

musiałyśmy umieć tropić, odnajdywać drogę w lesie, nieść pomoc, w wypadkach. Później nawet skończyłam kurs sanitarny i zostałam druhną higienistką, co przydało się nie tylko w Żabczycach na Śląsku, na obozie w 1949 r. ale w ciągu całego życia.

Do niewątpliwych atrakcji należały kiermasze, na które przygotowywałyśmy same różne zabawki, bibeloty, serwetki, koszyczki itp. przedmioty własnej roboty, by po ich sprzedaży uzyskać pieniądze na organizację obozu letniego. Uwielbialiśmy wszyscy wieczorne ogniska na stadionie zamojskim, przygotowywane wspólnie z harcerzami z Liceum męskiego im. hetmana Jan Zamoyskiego. Pomyślane były jako widowiska pełne humoru i śpiewu przy płonącym, ogromnym ognisku. Przychodziło na nie całe społeczeństwo z miasta. W zimie „ogniska” odbywały się w pomieszczeniach szkolnych z kominkiem elektrycznym niby żarem.

Zdążyłam wziąć udział w dwóch obozach, które wspominam z sentymentem. Pierwszy odbył się na Pomorzu, w Damnicy koło Słupska, w przepięknych lasach Pomorza Środkowego. Do morza daleko i do jezioru Damno również, za to świerki imponującej struktury zaczynały swe gałęzie na ziemi, a strzelały w górę piramidalnie na kilkanaście metrów. Cudo przyrody!

Wieziono nas, cały pociąg towarowy pełen harcerek i harcerzy z

Lubelszczyzny, przez trzy doby. Wagony były brudne, nasz po piachu, który sypał się w oczy, włosy i w jedzenie. Miałyśmy sienniki wypchane słomą, wkoło stały ławki, które strasznie nam przeszkadzały, bo w rezultacie nasze głowy musiały zostać pod nimi. Przy różnych manewrach na bocznicach i przy zmianie toru przewracały się na nas. Ale to jeszcze nic. Gdzieś w połowie drogi zaczął padać deszcz. Wagon zaczął przeciekać. Strużki wody ściekały pod nasze sienniki. Wieziona w workach mąka, kasza i cukier zamokły, a my brudne, głodne, zmęczone, ale szczęśliwe dojechałyśmy na miejsce.

Same stawiałyśmy ogromne namioty na sześć osób. Budowałyśmy z otrzymanych od leśników tarcic prycze i półki pod plecaki. Prycza okazała się za krótka, a rezultatem tego był ból w kolanach i jęki przy porannej gimnastyce.

Nasza drużyna druhny Krysi Łenykównej miała trzy namioty ustawiono dośrodkowo. Pośrodku placyku stanął maszt z wciągana i ściągana codziennie podczas apeli flagą. Życie obozowe zaczynało się o 7-mej gimnastyką-torturą, a potem według wyznaczonego porządku. Obok namiotów mistrzynie zbudowały ceglana kuchnię i zadaszenie na słupkach. Stoły i ławy naszej jadalni pod chmurką oraz latryna w głębi lasu też były wykonane przez nasze koleżanki. Piszę to wszystko dlatego bo już po nas obozy organizowano w oparciu o szkoły, ze spaniem w salach, kuchnią wiejską i kucharkami – mamami. Nie

jestem pewna czy tym dziewczętom harcerstwo pomogło w życiu.

Kilka godzin przedpołudniowych wypełniała praca, fizyczna, nazywana „służbą Polsce”. Nasza drużyna miała zadanie wyjątkowo trudne polegające na plewieniu z jeżyn obszaru młodych sadzonek. Kolce jeżyn wchodziły głęboko w dłonie i dawały później odczyny zapalne z ropą. Nie miałyśmy do tej pracy ani narzędzi ani ochronnych rękawic. Wolałam więc na ochotnika zgłaszać się do pracy zaopatrzeniowca. Obie z Lalką (Ireną) Szomańską wędrowałyśmy ok. 2 km, a może więcej do pobliskiej wsi po chleb i do specjalnego magazynu, gdzie dawano nam skondensowane wojskowe amerykańskie mleko w puszkach. Jedną puszkę półlitrową chyba, konfiskowałyśmy dla siebie „za trud”. Zbaczałyśmy z drogi w pola i tam wypijałyśmy mleko zachęcając siebie wzajemnie: „popij mleczko”. To mleko było dla mnie prawdziwy lekiem ponieważ cały mój ciężko przechorowałam na zapalenie płuc. Leczona byłam chininą, bo penicyliny w Polsce jeszcze nie znano. Gorączka bliska 40 stopni nie opuszczała mnie przez dwa tygodnie. Byłam wychudzona i słaba. Zaczęły mi garściami wypadać włosy. Po powrocie mama pozwoliło mi obciąć włosy i zrobić pierwszą w życiu trwałą ondulację tzw. parową. Czy ktoś dzisiaj wie co to znaczy?



Harcerki z Zamościa na obozie w Damnicy w 1948 r. Część drużyny Krystyny Łenykówny (siedzi po lewej). Pierwsza stojąca z lewej Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Okropna męka i niebezpieczeństwo poparzenia wrzątkiem, który

w specjalnych rurkach nie zawsze szczelnych, bulgotał przez godzinę na głowie. Potem skołtunione włosy niczym u merynosa, układał precyzyjnie fryzjer (przeważnie wówczas płci męskiej). W lewo i w prawo wyciskał głębokie bałwany, po czym odmieniona kompletnie wyglądałam dorosło i pretensjonalnie. Zostało to zauważone w szkole: czy wiecie, że ta mała Fabijańska zrobiła sobie trwałą? – zabrzmiało, jak skandal. Koleżanki przyjęły zmianę tolerancyjnie, a może z ociupina zazdrości.

„Wydarzenie” to odzwierciedlał też i utrwalił wiersz naszej klasowej poetki, Danki Cieliszak, wpisany do mojego pamiętnika:

Znam taką „Kropkę” co ma czarne oczy,

„Kropkę”, co często chodzi bardzo zła.

„Kropkę”, co niegdyś miała dwa warkocze,

Dzisiaj ta „Kropka” ondulację ma.

Skąd wzięła się „Kropka” nie pamiętam – fakt, że przez całą średnią szkołę nosiłam ten pseudonim.

Tymczasem w szkole wprowadzono reformę zamieniając przedwojenny system dwunastoletni na jedenastolatkę. W

rezultacie, po drugiej klasie gimnazjalnej znalazłam się w klasie dziewiątej. Wprowadzono nowy przedmiot – „Służba Polsce” z komendantką zamiast profesorki. Uczyłyśmy się musztry wojskowej, nawet strzelania z KBKS-u na prawdziwej, wojskowej strzelnicy i ciągle kazano nam śpiewać socjalistyczne piosenki. „Hej, Wy konie rumaki stalowe, hej, na pola prowadźcie że nas, niech zawarczą traktory bojowe, nam już w pochód wyprowadźcie się czas”. „Służba Polsce – święty sztandar nasz, celem dobro ludu, by nad Odrą czujnie trzymać straż, w pracy dokonać cudu”.

Do tych lekcji obowiązywał mundur składający się z wąskiej granatowej i bluzy koloru khaki, o wojskowym kroju z kieszeniami na biuście i patkami na ramionach. Na głowę były furażerki, które najlepiej nosiło się na ramieniu. Miałyśmy więc odmianę munduru. Zetempówki nosiły do tego stroju czerwone krawaty. Ani ja, ani Lalka, bardzo zaprzyjaźniona od czasu Damnicy, nie należałyśmy do tej masowej organizacji komunistycznej. Obie stanowiłyśmy filary reakcji i nawet nam się to udało do końca. Liczyłam się z konsekwencjami takimi, że nie dostanę się na studia, ale i tak byłabym przekreślona. Ojciec wrócił z niewoli i chodził w amerykańskim mundurze, do żadnej partii nie należał, pochodzenie inteligenckie – wszystko to stawiało przy moim nazwisku gigantyczną krechę.

Jedyną nadzieją był Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie nie pytano o pochodzenie i przynależność organizacyjną, jedynie o

zasób wiedzy i zdolności. Na polonistyce na KUL-u studiowała już wtedy siostra Ela i zaczynał prawo Julek. Pełna więc otuchy i nadziei kończyłam szkołę ogólnokształcącą. Zwyczajem wcześniejszych lat pozwolono nam na wyhaftowanie symboli na czapce maturalnej. Właśnie, żeby łatwiej było odróżniać uczniów różnych szkół zamojskich, wprowadzono obowiązkowe czapki. Nasze miały kolor czarny, krój rogatywki z daszkiem czarnym i otokiem amarantowym, na którym złocił się żółty sznur. Czapki były bardzo gustowne i twarzowe. Miękki aksamit dobrze się układał i świetnie zginał, gdy trzeba było schować czapkę do teczek. O to noszenie na głowach stale wychowawczynie perswadowały i apelowały. Dopiero ozdobiona haftem, maturalna czapka stała się bez perswazji naszą dumą. A tym haftem było niewątpliwe curiosum – plan sześćioletni: na złotej siatce czerwona linia wykresu 1945 – 1951 z gołąbkim pokoju u góry i czerwonym, wielkim napisem AKADEMIA ZAMOSCENSIS. Signum temporis. Symbol dawnej Akademii założonej przez hetmana Jana Zamoyskiego został samowolnie zmieniony i pozbawiony herbu rodowego „Jelita” (trzy włócznie). Takie pomieszanie z poplątaniem. No, ale tak było. Ktoś wymyślił, ktoś zaakceptował Czapka, jako pamiątka rzeczowa istnieje, chociaż nieco sfatygowana.

Stosunkowo często w szkołach i w harcerstwie organizowane były zabawy taneczne. Pierwszą zabawą, która trwała aż do godziny 23 była oczywiście studniówka, świetnie przygotowana

pod względem artystycznym wspólnie z kolegami z męskiego liceum – klas równoległych. Traktowaliśmy ich dość pogardliwie uważając za dzieciuchów nie umiejących tańczyć. Wzięli to sobie do serca i o dziwo! uczyli się na każdej przerwie. Któregoś dnia wybuchła afera, doszło do obrazy. I to kto? – Leszek, syn dyrektora Michała Bojarczuka nazwał nas „starymi gratami, z których sypie się próchno”. Sprawa oparła się o obie dyrekcje. Zażądałyśmy przeprosin. Wreszcie nasza pani dyrektor Hanna Porębska przyprowadziła do klasy purpurowego Leszka, który w obecności swojej sympatii, damy serca, stanął przed klasą i głośno nas przeprosił. Wtórował temu aktowi skruchy złośliwy chichot. Studniówka nie została odwołana i pięknie udała się, z zaangażowaniem obu szkół ogólnokształcących.

Na początek przedstawiliśmy operetkę z librettem pisanym przez Hanię Skopińską i Marysię Cieślakównę – dwie utalentowane, szalone dziewczyny, moje przyjaciółki z Zamościa i wcześniej z Hrubieszowa. Reżyserowała pani Regina Cieślakowa. To było świetne przedstawienie z tekstami o naszych szkolnych bolączkach, obrazujące wkraczający do szkół reżim stalinowski i bezsens niektórych działań zwłaszcza organizacji politycznej Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), która zdominowała wszystkie organizacje i sterroryzowała grono nauczycielskie. ZMP decydowało o ich życiu. Ale młodzież, jak to młodzież zawsze sobie jakoś poradziła, chociaż byli koledzy, którym nie dano zdać matury, poszli siedzieć na zamku w Lublinie, rzekomo

zamieszani w zabójstwo milicjanta w niedalekim od Zamościa Zwierzyńcu. Prawdy nie dowiedzieliśmy się nigdy. Faktem był wyrok śmierci, złagodzony do 25 lat. Śmierć Stalina i czasy Gomułki ułaskawiły ich po kilku latach spędzonych w donżonie zamku (*okrągła wieża przyp. red.*), gdzie była woda po kostki, a po jakimś czasie także we Wronkach (więzienie we Wronkach dla więźniów politycznych uważane było za najcięższe). Jurka Kurzempy, tego uroczego, inteligentnego i bardzo zdolnego kolegi-filozofa nie widziałam już nigdy, a Jurka Kuszla, którego poznałam przez mojego brata Julka po zwolnieniu w 1954 – siwusińskiego, jakby miał 70 lat. Piszę o tym, by utrwalić ich pamięć.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Powrót ojca z niewoli

Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

*

TERESA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA

**wybitny historyk sztuki, wieloletnia kustosz Powozowni
Zamkowej w Łańcucie**

Historia w karetach zaklęta

Refleksje. Najnowsze prace Ryszarda Litwiniuka.



Ryszard Litwiniuk, fot. Ewa Suprun

Ryszard Litwiniuk – urodzony w Olsztynie w 1966 roku, w 1992 roku ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku (dyplom w pracowni prof. Edwarda Sitka). W 1994 roku otrzymał prestiżowe stypendium: “Grant of the Pollock- Krasner Foundation Inc., New York, USA”. Wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość artystyczną. Ma na swoim koncie dziesiątki wystaw indywidualnych i zbiorowych.

Rzeźba, to nie tylko forma nadana stałej materii, to nie tylko zagłębianie się w tworzywo i wyłuskiwanie kształtów własnej

wyobraźni, ale również odkrywanie świata, mikrokosmosu, praw rządzących istnieniem i wszelkich mechanizmów stojących u podstaw każdej formy życia. Ryszard Litwiniuk w swojej pracy twórczej wędruje w głąb świata przyrody, aby dotrzeć do esencji życia, tkwiącej na dnie molekularnych cząstek. Stworzone przez niego formy żyją, mimo, że zastygły w bezruchu. Artysta posługuje się naturalnymi materiałami, dostępnymi w miejscu pracy. Powstają więc obiekty piękne, monumentalne, stojące na wolnym powietrzu lub wijące się w salach galerii, statyczne lub dynamiczne, skończone lub nieskończone, idące w głąb czasu czy szeroko obejmujące przestrzeń, ale wszystkie, za pośrednictwem sztuki, stały się inną formą życia. *(Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.).*

Strona Ryszarda Litwiniuka:

<http://ryszardlitwiniuk.blogspot.com/>

Galeria

Cykle „Reflexions” i „System otwarty”



Edmund Spenser
2015.
©









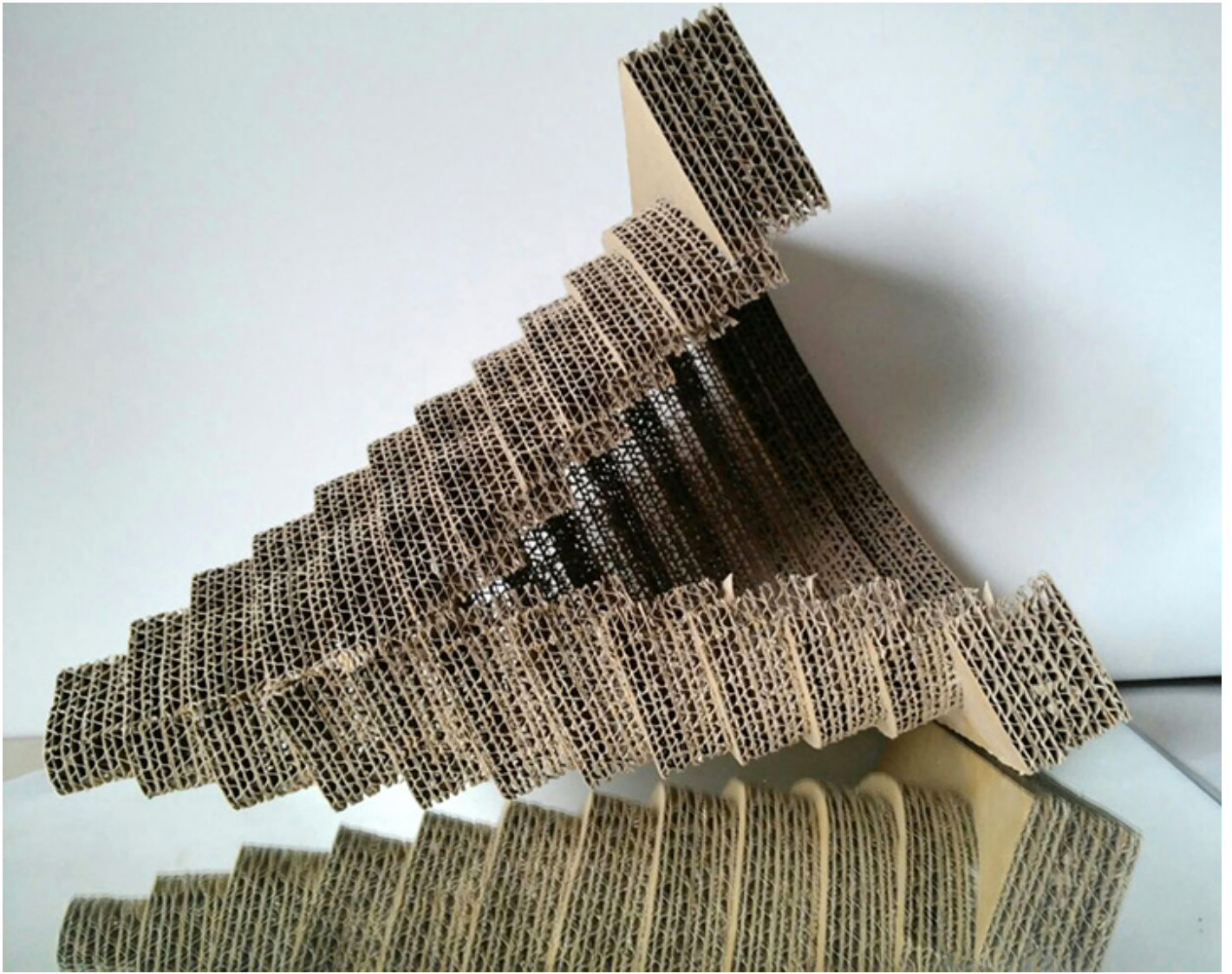


















Zobacz też:

Ryszard Litwiniuk – System Otwarty

Etalon. Rzeźby Ryszarda Litwiniuka w Gdańskiej Galerii

Miejskiej.

Ryszard Litwiniuk na Międzynarodowym Sympozjum
Rzeźbiarzy Forma Viva w Kostanjevicy na Słowenii

Ryszard Litwiniuk - rzeźbiarz natury

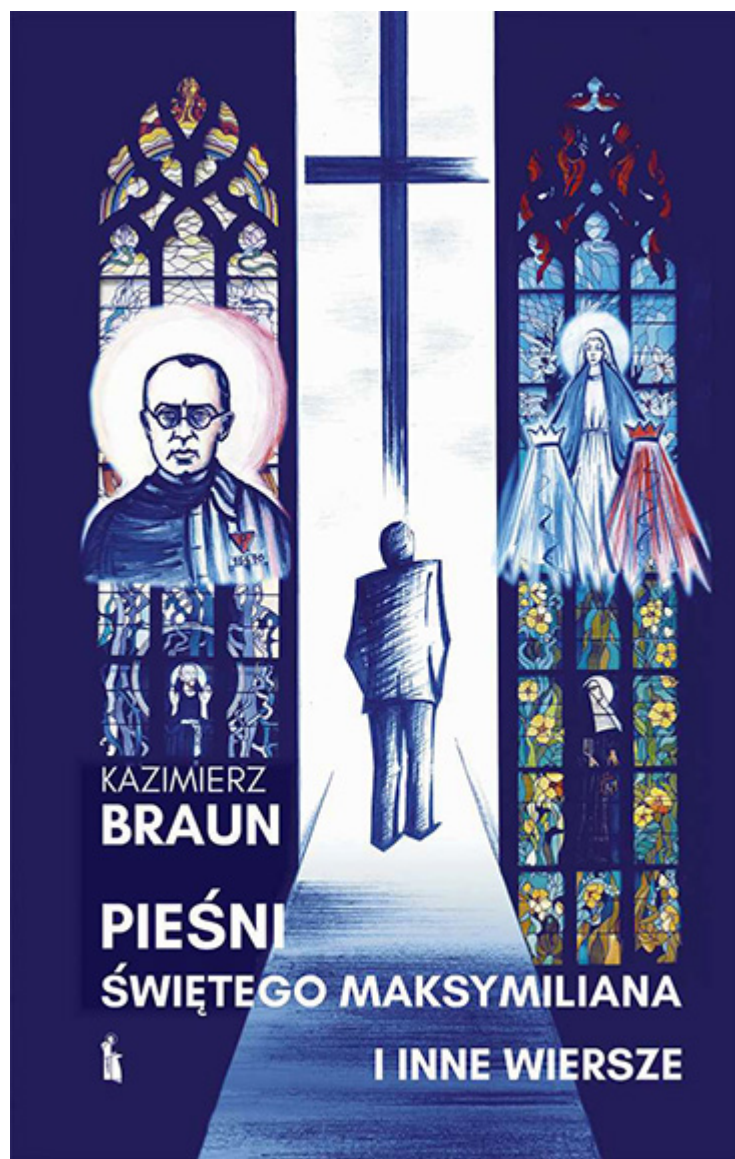
Anatomia drzewa

Pieśni Świętego

Maksymiliana

Kazimierz Braun (*Buffalo*)

28 maja 2021 roku minęło 80 lat od uwięzienia w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz ojca Maksymiliana Kolbe, gwardiana Niepokalanowa - franciszkańskiego klasztoru i wielkiego domu wydawniczego. Z tej okazji w Wydawnictwie Franciszkanów Bratni Zew w Krakowie został wydany tom poezji Kazimierza Brauna pt. „Pieśni świętego Maksymiliana i inne wiersze”.



*

RZYM

Rzym - Wieczne miasto - Stolica Piotrowa.

Tu młody Rajmund przyjechał studiować.

*

Skoro Matuchna tak chce – to przeznaczę

Każdą sekundę modlitewnej pracy.

*

Dwa doktoraty – z filozofii – zdany.

Toż z teologii – mnich wiedzy zachłanny.

*

Do tego studia, aby księdzem zostać.

Gruźlica dławi. Nie poddam się, sprostam.

*

Horyzont pęka, głębia nie przstrasza,

Kosmos porywa – tam Matuchna nasza.

*

Immacolata! Dla Niepokalanej

Zastęp Rycerzy do apelu stanie.

*

Podajmy walkę o grzeszników dusze.

Do uświęcenia wszystkich dążyć muszę.

*

Różaniec bronią, a zbroją medalik

Cudowny – lepszy od najtrwadszej stali.

*

We wszystkich sprawach, tam się uciekamy.

Pod jej opiekę. Ją za Matkę mamy.

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, proszę, w swych ramionach.

*

NIEPOKALANÓW

Niepokalanów – wieś, gród, metropolis,

Rośnie, pięknieje dzieło Marii woli.

*

Gdy patrzeć z nieba – strzechy, laski, piaski,

Gdy dookoła – to fabryka prasy.

*

Mamy kaplicę, szpital, jest i straż pożarna,

Zecernia i drukarnia, młynów Słowa żarna.

*

Gdy wejrzyć w serca drukarzy – oddanie

Marii, pracy, modlitwie – zwykli franciszkanie.

*

Gdy ich wezwiałaś – wnet zastępy stały.

Gdy ich roześlesz – pobiją świat cały.

*

Wyrzutnia rakiet modlitwy do nieba –

Ludziom tak słowa, jak chleba potrzeba.

*

Bijemy prasę, książki, katechizmy.

Dziś radio, jutro będzie telewizja.

*

Kolportaż bucha jak wielkie ognisko –

Wagony, ciężarówki, już jutro lotnisko.

*

Niepokalana pracę błogosławi.

Wskazuje drogę jak mnich ma się zbawić.

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, proszę, w swych ramionach.



Pomnik św. Maksymiliana Kolbe w Niepokalanowie, fot.
wikimedia commons

*

NAGASAKI

Uratuj, Matko, przed Ciemnego siecią,
daj siłę, Matko, rycerzom, swym dzieciom.

*

Nad górą Hiko jasna wstaje zorza.
Jaśnieje jaśniej od zórz Matka Boża.

*

Znowu, jak kiedyś, trzyma dwie korony
– Co niesiesz Matko? – pyta mnich zdumiony.

*

– Korona biała – czystość. A czerwona
Męczeństwo znaczy. Wyboru dokonaj.

*

– Już dokonałem... – Tak. Wybrałeś obie,
już ich pragnąłeś. Białą nosisz godnie.

*

Czerwoną zyskasz, gdy ja wskażę porę.
A potem niebo. Godzinę wybiorę.

*

– O, chcę ich obu. Kieruj Matko Boża
twym sługą w Polsce, w Japonii, na morzach.

*

Korona biała, korona czerwona.
Trzymaj mnie, Matko, stale w swych ramionach.

*

AUSCHWITZ

Trzask drzwi wagonu. Jak startera wystrzał.

Ostatni wyścig. I meta już bliska.

*

Więc to tu, Matko? Tutaj ta czerwona

korona czeka? Matczyne ramiona?

*

Szłaś ze mną. Napis: „Arbeit macht frei”, a wyżej

niebo majowe. Wszyscy nieśli krzyże.

*

Kij. Bicz. Cios. Kopniak oprawcy – biednego

brata. Co czyni – nie wie. Zdrowaś też za niego.

*

Inny brat jęczy. Rozpacz w jego głosie.

Daj mi krzyż, bracie, za ciebie poniosę.

*

Ten obóz śmierci – komnata królewska.

Prycza, smród, zaduch. To Ty tutaj mieszkasz?

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, mocno w swych w ramionach.

Zobacz też:

Święty Maksymilian Kolbe – towarzysz teatralnej i poetyckiej podróży

Film „O zwierzętach
i ludziach”
w amerykańskich
kinach



Film dokumentalny „O zwierzętach i ludziach” w reżyserii Łukasza Czajki, którego koproducentem jest Telewizja Polska, zobaczą widzowie w USA. Pokazy filmu odbędą się 22 czerwca 2021 r. w ponad 750 amerykańskich kinach. Dystrybucję kinową filmu prowadzi Biuro Sprzedaży i Współpracy Międzynarodowej TVP.

Film „O zwierzętach i ludziach” opowiada historię polskiego małżeństwa Żabińskich, którzy podczas okupacji ocalili przed śmiercią setki Polaków i Żydów. Jan Żabiński, twórca i wieloletni dyrektor warszawskiego zoo, wraz z żoną Antoniną w czasie wojny ukrywał na terenie opustoszałego zoo szukających schronienia Żydów oraz żołnierzy polskiego podziemia. Goście przebywali w prywatnym domu Żabińskich na terenie placówki i

na zapleczu wybiegów dla zwierząt nawet przez wiele miesięcy. W sumie małżeństwo dało schronienie ok. 300 osobom – dokładna liczba jest nieznana.

Z materiałów archiwalnych, fragmentów inscenizowanych wypowiedzi świadków i ocalonych powstała niezwykła opowieść o odwadze i pasji, będąca też refleksją na temat losu, który dzielą ludzie i zwierzęta. W filmie wykorzystane zostały zarejestrowane rozmowy z ostatnimi żyjącymi świadkami zdarzeń, m.in. Moshe Tiroshem, ocalałym dzięki kryjówce w zoo, a także nigdy wcześniej niepublikowane filmy archiwalne, pokazujące rodzinę państwa Żabińskich, ich willę oraz zoo.

Film zostanie zaprezentowany amerykańskim widzom jednego dnia, 22 czerwca br., w około 750 kinach w USA, m.in. w największych sieciach kin, takich jak: Regal Cinemas, AMC i Cinemark.

Organizatorem pokazów filmu w USA jest firma Fathom, jeden z czołowych dystrybutorów kinowych w USA oraz największy dystrybutor filmów dokumentalnych i wydarzeń live.

Dokument „O zwierzętach i ludziach” jest laureatem licznych nagród, m.in. nagrody dla najlepszego filmu artystycznego na MFFD w Kantonie w 2019 roku, Nagrody Specjalnej Jury Festiwalu Filmu Polskiego w Ameryce w 2019 roku oraz nagrody

Bei Doc na Bellaria Film Festival w 2020 roku. Film został wyróżniony na Ogólnopolskim Festiwalu Filmowym „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci” w 2020 roku za „artystyczne ukazanie czasów, w których ratowanie życia groziło karą śmierci”.

Producentem filmu na podstawie scenariusza i w reżyserii Łukasza Czajki jest Anna Wereda (Autograf). Koproducentami są: Telewizja Polska, Mazowiecki Instytut Kultury, Mazowiecki i Warszawski Fundusz Filmowy, FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny, Narodowe Centrum Kultury, MX35.

Więcej wiadomości na stronie: <https://ofanimalsandmen.com/>

Informacja prasowa otrzymana z Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Houston.

Zwiastun: